



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Taka już dola: potrzeba zacząć od karnawału, który w tej chwili wirem zabaw porwał całą Warszawę i pod koniec swego panowania rozhulał się bardziej, niż kiedykolwiek. Zdawało się z początku, że będzie to limfatyczny i spokojny „księżeswołości“, co poprzestanie na pączkach i faworkach, zakręci się kilka razy w walcu i przed popielcem jeszcze złoży berło swoje: a tymczasem pokazało się, że to hulaka, godny swych najszaleńszych protoplastów, chociaż nie urządzał publicznych balów, nie zamianował ani jednej królowej wdzięków i mody—w państwie dekolowanych bogiń walca i mazura.

Oh, będą się na ten nasz karnawał uskarżać, i ojcowie rodzin, gdy przyjdzie płacić zaległe rachunki, łokciowej długości, i pomęczone gospodynie domu, i głośniejszą i żałośliwiejszą nad wszystkich, te panny na wydaniu, którym los nie dotrzymał tego, co walet kierowy w pasyansie zapowiadał....

Warszawka tedy rzczywała się i rozhulała starym zwyczajem, a za jej przykładem poszła prowincya.

Wszystko jakoś złożyło się podawnemu; musieliśmy trochę przebrać miary, trochę więcej, niż należało, rozrzucić grosza, nadużyć sił swoich i zasobów... ale na co się zdadzą słowa i kto je do serca weźmie? Szaleć i szaleć—*è semper bene.*

Popielec stoi już pode drzwiami i gotuje się do pochodu naczele zakapturzonych i poważnie zadumanych czterdziestu dni Wielkiego Postu. Jak jaskółki wiosną, tak wiadomości o odczytach zapowiadają koniec karnawału, a rozpoczęcie się jego antytezy.

Wierne swej tradycyi, Towarzystwo Osad Rol-

nych zawczasu ogłosiło listę tegorocznych prelegentów, na których czele stanął, zawsze tak mile widziany u nas na katedrze, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, hr. Stanisław Tarnowski; tą razą usłyszymy z ust jego krytyczny sąd o *Nieboskiej komedyi*. Już-to wogóle wybór tematów i osobistości ze świata literackiego i naukowego wzbudzać powinien żywy interes u naszej publiczności, dla tegorocznej seryi odczytów. Professor Rostafiński mówił ma: *O wilkołakach, szczególnie światła roślinnego*. Dr Fabian, professor Uniwersytetu Lwowskiego: *O promienistym stanie materyi*, Dr Seredyński z Krakowa: *O pedagogicznych poglądach Dickensa*, Hr. Wojciech Dzieduszycki: *O Arystotelesie*, Pan Bernard Kalicki ze Lwowa odczyta: *Kartkę z XVI wieku*, Dr Dobrzycki z Mieni: *O suchotach i cywilizacyi*, Professor Plenkiewicz: *O Brodzińskim*, Pan Alexan. Kraushar: *O palestrze staropolskiej*, Pan Piotr Jaxa Bykowski: *I czegoż jeszcze naszej białogłowie potrzeba!*

Nie można nawet wątpić o powodzeniu takich prelegentów i takich tematów, odczyty zwabią zapewne liczniejszą, niż w roku zeszłym, słuchaczy i przysporzą funduszom Osad Rolnych nowego, a pożądanego wielce, zasiłku. Za jakie lat kilka, albo kilkanaście, pożyteczna ta instytucya przestanie zupełnie odwoływać się do łaski i względów ogółu, bo, jako spadkobierczyni zapisu ś. p. hr. Kajetana Kickiego, będzie mogła o własnych siłach ostać się i wypełniać swe zadanie filantropijno-umoralniające.

Dzisiaj wszelako Towarzystwo Osad Rolnych ma tylko tytuł zamożnego dziedzica, ale w szkatule pustki; a dużo jeszcze wody upłynie, zanim z procentów objętego w posiadanie majątku, po dopełnieniu wszystkich obowiązków testamentu—zacznie się tworzyć dochód dla samych Osad.

Spuścizna po szlachetnym ofiarodawcy wymaga pracy, kosztów i gorliwych starań w celach amelioryacyjnych; kęs to chleba spory, ale opleśniały, twardy i nie do użycia w dzisiejszym stanie. Trze-

ba go wpieryw oczyścić i odświeżyć, zanim będzie można posilić się nim, jak przystało. Do tej czynności zabrała się też z poświęceniem rada administracyjna, a zaczęła od tego, że szczegółowo opisała materyał pozostawiony Towarzystwu przez testatora, aby kiedyś stopniowy rozwój i ulepszenie spadku dało się tem dokładniej i jawniej uwi- docznić.

Pod koniec przyszłego miesiąca ukazać się ma książka, zawierająca wszystko, co pouczyć może ogół o spuściznie hr. Kickiego w jej obecnym stanie. Ważniejsze zabudowania, zruinowane po większej części, i widoki majątków, znajdują się w tej książce odtworzone ołówkiem Andriollego. Będzie to niejako publiczny opis, inwentarz, tego, co stanowi mienie ruchome i nieruchome Towarzystwa, jako szczęśliwego, ale skępowanego ciężkimi zobowiązaniami, spadkobiercy.

Dałby Bóg, aby jaknajrychlej książka ta była tylko wspomnieniem przeszłości, aby praca i obywatelskie poświęcenie obróciły na pożytek ogółu wszystkie instytucje, uposażone tak hojnie przez szlachetnego „mizantropa!“ Odczyty i składki muszą wszelako do czasu stanowić jeszcze ciągle źródło głównego dochodu dla Osad, które teraz na większe niż przedtem poparcie zasługują, skoro mają przed sobą tak poważne zadanie do wypełnienia. Zachwianie się bowiem Towarzystwa Osad Rolnych naraziłoby, już nie sam cel instytucyi, umoralniającej zbłąkańców młodego pokolenia, ale i całą myśl miłującego kraj swój i lud obywatela, który jej urzeczywistnienie tak gorąco swoim spadkobiercom polecił.

Oprócz wyżej wspomnianych odczytów proponowano w ostatnich dniach wznowienie popularnych *ex cathedra* wykładów dla mniej zamożnej i mniej oświeconej klasy ludności; przed laty takie dziesięciogroszowe prelekcye w Teatrze Rappo i w Teatryku Dobroczyńności miały wielkie powodzenie; zbierały się na nich tłumy, rzemieślników po większej części, dla których żywe słowo

było najżyźniejszym ziarnem nauki, zdrowych pojęć i ukształcenia umysłu.

Dzisiaj pora byłaby potemu stosowniejsza, niż kiedykolwiek...

Ślimaczym krokiem postępująca, sprawa Resursy Rzemieślniczej nie pozwala wytworzyć dla ludzi fizycznej pracy zdrowej atmosfery towarzyskiej, w którejby obok przyzwoitej rozrywki znajdowali i sposobność do umysłowego uszlachetniania się, nuczania rzeczy pożytecznych, a niełatwo poza warstatem z książek i samodzielnych studyj przystępnych. Niechżeby przynajmniej na tej drodze dało się ponieść trochę więcej światła pomiędzy ów tłum potrzebujący inteligentnej, bezinteresownej a uczciwej, opieki.

Rzemieślnik nasz bywa ciekawym i miewa często ambitne chęci uzupełnienia swej skromnej wiedzy: dlaczegoż nie skorzystać z tych jego zalet i nie podać mu sposobności łatwego podkształcenia się i wzbogacenia swego umysłu nowymi pojęciami?...

Projekt ten, poruszony w gronie młodych literatów, należałoby urzeczywistnić jaknajrychlej, a chętnych pomocników i wykonawców nie zbrakłoby z pewnością wśród ludzi łączących talent i naukę z poczuciem obywatelskich obowiązków i zrozumieniem dobra ogólnego.

Zachęcający i pocieszający przykład poświęcenia dał nam, dokonany w zeszłym tygodniu, jednodniowy spis ludności warszawskiej. Około tysiąca ochotników zgłosiło się do posługi sekcji statystycznej Magistratu i przyjęło uciążliwy dosyć obowiązek oznaczenia zbiorowemi siłami możliwie dokładnej liczby mieszkańców Syreniego Grodu z wszelkimi potrzebnymi klasyfikacjami. Materiał tedy został zebrany; teraz dopiero trzeba go będzie uporządkować systematycznie, rozpatrzyć szczegółowo, zbadać należycie, i zamienić w naukowe dane, co wszystko pod kierunkiem najczynniejszego w tej sprawie, i promotora jej, p. Witolda Załęskiego, naczelnika pomienionej sekcji statystycznej, przed upływem roku ma być dopełnionem. Praca to żmudna, trudna — ale w samym założeniu swoim ważna i piękna. Mijmy nadzieję, że i w wykonaniu taką samą się okaże.

Czy rezultaty spisu jednodniowego będą prawdziwe? to zależy nie tylko od gorliwości i umiejętności panów delegowanych, ale i od sumiennosci samych obywateli. Rzecz oczywista, wskazówki mylne lub niedokładne, albo niedbale zebrane, dobrej statystyki nie dadzą. Z przykrością tu zaznaczamy, że w rządzie owych przygodnych statystyków znaleźli się tacy, którym w pierwszej chwili podobał się sam tytuł, ale później zaciężyły połączone z nim obowiązki. Tak to u nas najczęściej bywa, że nie umiemy wytrwać w postanowieniu i porzucamy sprawę, przed końcem, jak dzieci, szukające coraz nowej zabawki i nowego wrażenia!

Smutne też świadectwo dali o swoim stopniu oświaty i poważniejszym poglądzie na cele naukowe niektórzy nasi obywatele, lekceważąc sobie znaczenie spisu, albo poprostu uprzedzając się do niego i niechętnie wobec tak doniosłego przedsięwzięcia zachowując. Kraje zachodniej Europy opierają na statystyce mnóstwo ważnych wniosków, czerpią z niej niejednę ekonomiczną i społeczną wskazówkę i, oceniając przysługę takiej liczebnej kontroli głów i pracy swej, peryodycznie, z niemałym nakładem, urządzają spisy ludności. Kraje te mają cywilizację, dla niej i przez nią to wszystko robią: a my, czyżbyśmy się od związku z cywilizacją odrywać, trudów jej i owoców wyrzekać chcieli?

Podobno i miasta prowincjonalne Królestwa Polskiego zamierzają pójść za przykładem Warszawy, a im więcej znajdzie się naśladowców, tem pożyteczniejsze dadzą się wyciągnąć wnioski ze statystycznego ocenienia kraju, żyjącego, jak dotychczas, jakby na wzór opieszających kupców, bez ksiąg handlowych.

Rezultaty zeszło-tygodniowego spisu mogą być bardzo nauczające; wykażą one nie tylko stosunki narodowości, płci, wieku, zawodów, ogólnej zasobności mieszkańców Warszawy, ale i stopień oświaty. Dowiemy się raz przecie, jaki procent umysłowego proletaryatu legnie się pomiędzy nami, jaki podział zajęć i pracy przypada

na całą ludność i normuje stosunki warstw społecznych.

Oby tylko rezultaty były pomyślniejsze od przewidywanych!

Smutniejszym niezaprzeczeniem byłby ogólny obraz całego kraju w ramach statystyki i pod kratkami ścisłego miernika; a najsmutniejszym rezultat w pozycji oświaty przeciętnej, której procent, porównany z wykazami szczęśliwszych w dojrzeniu krajów i społeczeństw europejskich, musiałby nam rumieniec wstydu wywołać na czoło.

Iluż to jeszcze nieuków nieszczęśliwych niema u nas pojęcia o abecadle, o czytaniu i pisaniu!... Zrozumiał to najlepiej Promyk, że od kardynalnych podstaw sprawę oświaty zaczynać potrzeba, i w postaci elementarzy, „Gazety Świątecznej“ i kalendarza swego, „Gościa“, przybyszającego z dobrą nowiną, wnosi naukę czytania i pisania i wiedzę dla ludu niezbędną tam nawet, gdzie o szkole i nauczycielu słycho jeszcze nie było.

* * *

Dzięki błogosławionej myśli Kraszewskiego i hojnej ofierze jakiegos szlachetnego piastuna tej myśli, tylekroć zapowiadana instytucja „Macierzy polskiej“ zacznie wreszcie pomagać swą pożyteczną działalnością do krzewienia niezbędnej dla niższych warstw społeczeństwa, oświaty.

Według ułożonych statutów zarząd „Macierzy“ składać się ma z rady nadzorczej i rady wykonawczej. Członkami pierwszej są: J. I. Kraszewski, D-r Zyblikiewicz, marszałek Sejmu Galicyjskiego, D-r Henryk Szuman, prezes Koła Polskiego w sejmie pruskim i Konrad Prószyński (Promyk). Grono to uzupełnionem zostanie jeszcze przez jednego z posłów galicyjskich, którego nominacją pozostawił czeigodny twórca „Macierzy polskiej“ p. Zyblikiewiczowi.

Do rady wykonawczej weszli p. p. Jan Amborski, D-r Ludwik Kubala, D-r Julian Ochorowicz, ks. Siemiński i W. Bełza, jako sekretarz.

Drukarnia Anczyca w Krakowie ma być generalną dostarczycielką druków do rozpowszechnienia przez Zarząd przeznaczonych. Rada nadzorcza zbierać się będzie raz do roku i dokonywać kontroli nad czynnościami rady wykonawczej. W ciągu tegorocznego lata ma się odbyć pierwsze takie zgromadzenie, po którym już działalność „Macierzy“ wejdzie na tor prawidłowy.

Mamy wszelkie prawo spodziewać się, że działalność ta będzie prawdziwie macierzyńską i opiekuńczą, a w skutkach owocną i pomyślną, jak to cały początek instytucji zapowiada.

* * *

Pamięć świątecznych wypadków zatarła się już nieco, wykołejony porządek społeczny wrócił znów do dawnej równowagi. O ile się dało, szkody materalne choć w małej części, pokryła ofiarność publiczna, a komitet pomocy, ukończywszy swoje zadanie, rozwiązał się, i daj Boże, aby po raz drugi nie potrzebował się organizować.

Ostatnią ofiarę na poszkodowanych w katastrofie Świątokrzyżkiej rzuciła ręka naszych artystów z kolonii monachijskiej. Dwudziestu ośmiu malarzy polskich złożyło się na Album, które będzie ponętą dla niejednego miłośnika sztuki, co zechce pomnożyć swe zbiory tą filantropijną kolekcją trzydziestu kilku kartonów rysunkowych i akwarelowych. Talent i miłosierdzie wydały z siebie to dzieło zbiorowe, z którego cały dochód przeznaczyci wykonawcy „dla ofiar w kościele Św. Krzyża“. Brandt, Chelmiński, Kowalski, Kozakiewicz, Łoś, Streit, Świeszewski, Szerner, z wszystkimi młodszymi kolegami, wystąpili do Albumu. Piękny to objaw łączności i współczucia dla spraw swojskich, świadczący chwalebnie o obywatelskim duchu naszych artystów.

Drugą ofiarę, godną uwagi i uznania, złożyć ma młodzież, ucząca się w Szkole Technicznej przy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Chce ona swoją pracę poświęcić przyozdobieniu nowej świątyni Pańskiej na Grzybowie. Inicytywę podali zwierzchnicy szkoły, uczniowie zaś wspólnym kosztem i

wspólnymi siłami wykonać mają duże drzwi żelazne, kute à jour, do pomienionego kościoła Wszystkich Świętych.

szczęśliwy to był pomysł i w dobrej chwili się urodził.

Ostatnie czasy w ogóle wyjątkową odznaczyły się ofiarnością. Dzięki dobremu natchnieniu p. Władysław Czarnecki, właściciel Łuków Maleszewskich w gubernii Podolskiej, przeznaczył kapitał, z górą 100,000 rs. wynoszący, na zakład dla paralityków i nieszczęśliwych kalek, którym polowa życia zagasała w ciele i umyśle.

Ktoś inny znów zajął się gorąco i szczerzej, niż wszyscy dotychczasowi projektodawcy, losem biednych niewolnic igły i postanowił wybudować dla nich w Warszawie dom schronienia i przytulku. Może chociaż w ten sposób „kwestya szwaczek“ wejdzie na drogę szczęśliwszego rozwiązania, dzięki prywatnej inicytywie jednostki, wyręczającej dotychczasową niezaradność ogółu. Pleż to lat bowiem minęło, odkąd zaczęto rozpisywać się u nas i biadać nad smutną dolą tych wyzyskiwanych istot, a dotąd nie zrobiono nic, pomimo konkursowych planów i komitetów!...

Na zakończenie wypada nam jeszcze wspomnieć o projekcie kilku praktyczniejszych pań naszych, które zamierzają założyć „Szkołę bezpłatnej nauki rzemiosł“ dla kobiet. Istnieją wprawdzie u nas tego rodzaju instytucje, ale utrzymywane kosztem prywatnych przedsiębiorców, muszą z konieczności sprzedawać swoją naukę: temsamem dla uboższych drzwi takich zakładów są zamknięte. Przy obowiązkowej zapłacie za naukę, uboga dziewczyna, biedna matka, zmuszona własną pracą żywić siebie i rodzinę, musi się wyrzec nauki, którąby jej w przyszłości mogła dać lepszy środek utrzymania i zapewnić byt w walce z losem.

Nie wiemy jeszcze: na jakich podstawach zbudowaną być może taka instytucja, ucząca praktycznej pracy, rzemiosł odpowiednich naturze i usposobieniu kobiety, ale uznajemy jej ewentualny pożytek i radzibyśmy jaknajrychlej ogłosić o jej powstaniu.

Nauczmy kobietę pracować i zarabiać uczciwie na życie: a uratujemy ją od upadku; zakładajmy instytucje praktycznego wykształcenia kobiet, podajmy im środek utrzymania i roztwórzmy przed nimi szersze pole godziwego zarobku: a będziemy mogli zwinąć zakłady Magdalenek.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Niedługo jednak trwał pobyt w sali księcia chorążego, który zwykł był wkrótce po wieczery, zwolna się wysuwać do swej sypialni. Księżna chorążyna potem z gośćmi swoimi siedziała jeszcze czas jakiś, a najpóźniej około dziesiątej wszyscy się rozchodzili.

Na zamku potem rozpościerała się cisza uroczysta, i choć gdzieś światła w oknach się ukazywały, ruch wszelki ustawał. Zamykano bramę, szli stróże dokoła, i w kordegardzie tylko czuwano.

W mieszkaniu Zaborskich od podwórca ciemno już było; stara jejmość kładła w swoim pokoju, zadumana, kabałę, kartami dosyć nieświeżymi, a strój jej dowodził, że się już nikogo nie spodziewała. Czepek nocny z żółklemi wstążkami, wielka chustka spięta na piersiach, którą była otulona, obuwie stare na nogach, twarz, z której się bielidłoienne starło: czyniły ją owiele lat starszą niż zwykle, gdy strojna do ludzi występowała.

Czy kabała tak niefortunną jakąś przyszłość jej zapowiadała, czy inny miała powód do zmartwienia,

oblicze starej wyrażało jakiś gniew i smutek. Czasami podpieraa się na chudych łokciach, i tak, wpatrzona w rozrzucone karty, długo dumaa, wdychając.

Naostatek zmieszaa karty, rzuciła je do szufladki w stoliku, i na palcach wyszła pocichu ku mieszkanii córki. Jak zawsze, przyłożyła naprzód oko do umyślnie rozszerzonej na ten cel dziurki od klucza, zlekka potem pocisnęła klamkę i weszła. Faustyna, na pół rozebrana, leżała sparta na kanapie, z rozpuszczonymi włosami. Była tak zadumana, że nie postrzegła matki, aż się do niej zbliżyła i stanęła tuż przed nią.

— No—co znowu? co znowu?—poczęła Zaboriska. Płakałaś?—widzę po oczach.

Załamaa matka ręce na piersiach.

— Kto-by myślał, że cię tu męczą i głodem morzą! Dogadź jej, jak chcesz—nigdy dobrze nie będzie.

— Tu?—nigdy!—odparła cicho z jakąś rozpaczą Faustysia.

Matka usiadła naprzeciw niej na krześle.

— Lepiej było z głodu umrzeć!

Faustysia porwała się z kanapki, podnosząc ręce.

— A! lepiej, stokroć lepiej nam było przy tym głodzie i biedzie—zawołała. — Jak wspomnę na tamte czasy...

Łzy się jej puściły, zamilkła, płakała. Matce, gniew obrzydła twarz wykrzywił.

— Głupia!—odezwała się—co swojego szczęścia nie umie ocenić!

Faustysia szlochała ciągle.

— Gdybym nie wiedziała, że ty córką moją jesteś, to-bym w tobie mojej krwi nie poznała—poczęła matka. Przecie rozum trzeba mieć—na świecie chleb pierwsza rzecz, a co człowiek wart, gdy goły? Inna na twojem miejscu miała-by z tego księcia, co-by chciała; dałby folwark dożywociem, albo i na dziedzictwo. Czy to on wieczny? Jak jego nie stanie, a będzie za co ręce zacześć—znajdziesz sobie smyka, jakiego zechcesz...

Na to wszystko nie odpowiadała Faustyna; lzy jej oschły, myślała o czem innym.

— A! a! żebyś ty, rozum miała!—prawiała jakby zmuszona się wygadać Zaboriska—szczęście się bo tobie samo ciśnie, a ty je odpychasz. Z księcia-bys zrobiła, co chciała; a ten Wolski, który tu wszystko wszystkim, u nóg-by twych leżał i gotów na piśmie dać, że się ożeni.

— Ale ja go nienawidzę, — wykrzyknęła Faustysia.

— Dlaczego? że przechrzta? To co? mało takich panami i ze szlachciankami pożenionych?

— Nie cierpię go! — głośniej jeszcze odezwała się Faustyna.

— Bo tobie w głowie może dotąd ten chłystek przeklęty, ten Damazy.

Dziewczę wstrząsnęło się całe.

— A to był jeden z tych, co się rodzą, aby z torbami chodzili.

Dziewczę westchnęło.

— Szczęściem, że go lichu ztąd wyniosło! bodaj nie wracał!—mówiła Zaboriska. — Ale was dwoje równie głupich, bo byłaby rychtyk para. Dłategoście się tak kochali!

Poruszyła ramionami Faustynka, patrzyła na matkę, usiłując może odgadnąć: czy się czego nie domyślała.

Zaboriska, z rękami założonemi na piersi, patrzyła w stół, a usta się jej nie zamykały.

— Gdy chce Bóg pokarać—to rozum odejmie—mówiła—tak i z tobą. Wolski? co przeciw niemu można powiedzieć? chłopak, choć malować. Jak nie wyjdzie na wielkiego pana....

— O! pewnie!—odezwała się wreszcie Faustyna—sam szatan mu pomoże, bo mu służy wiernie, lepiej, niż księciu, którego-by zdradził, gdyby mu tylko bezkarnie było wolno. A iluż to ludzi poginęło przez niego, ilu on oskarżył i wtrącił do więzienia, aby pomścić się na nich! U kogo klucze od lochów? u niego. Komu się okupują aresztanci? temu zbójowi. I takiego człowieka....

Matka się porwała z passyą.

— Kłamią—ogadują, bo się go boją—krzyknęła. Co robi to z rozkazu księcia, na jego sumieniu to nie będzie; on czysty.

Rozśmiała się Faustysia.

— Dajcież mi pokój, matko—przerwała.—Mam ci ja oczy i uszy, anim małym dzieckiem, żebym nie rozumiała, co się na świecie dzieje. Siedzę tu w tej oplakanej niewoli: niechże jednego sromu dosyć będzie!

I wstała groźnie namarszczona.

— Proszę ja was, nie mówcie mi już o tym Wolskim—dodała—nie chcę go znać ani wiedzieć o nim. Powiedźcie mu to, aby darmo się nie durzył.

Zaboriska spojrzaa tylko na córkę, zmierzliły się oczyma, zbierało się widocznie na klótnię, jakie często między nimi wybuchały. Zwykle łagodna i posłuszna, Faustysia, przywieziona do ostateczności, wybuchała gwałtownie, a matka natomiast najczęściej musiała ustępować, bo w takich razach nie miała słuszności—i sama to czuła.

— Nie powiesz ty mu tego, matko—dodała Faustysia, to ja sama.

— Tylko ty mi się w to nie wdawaj, bo doprowadzisz do tego, że nas ztąd jeszcze wypędzą.

— Dałby Bóg!—zawołało dziewczę, ręce skła dając.

— A, tak! żeby wszystko, cośmy wycierpiali, za darmo jak w wodę wpadło—przerwała matka. Kiedy człowiek dla tego nieszczęsnego chleba duszę gubi, to niechże-by go choć miał!

Dokończywszy tych słów, wyszła matka, drzwi ze złością zatraskując za sobą. Sceny podobne powtarzały się niemal codziennie. Oplakane było życie dziewczęcia, które w dobrej wierze, zdawszy się na matkę, popadło w tę kałużę i męczyło się w niej a bolało okrutnie. Teraz zaświtała jakaś wyzwolenia nadzieja, powrócił Damazy, o którym wiedziała, że go wysłano do Lunewilu; nie spodziewaa się go wcale. Miał od niego karteczkę, którą jej potrafił przesłać, przekupiwszy sługę; potem on sam wdarł się jako handlarz z kramikiem, aby się z nią zobaczyć. Przez krótką chwilę, nawpół łzami i powitaniem zajęta, mogli się zaledwie rozmówić, i Faustysia miała obietnicę jego, że będzie starał się ją wykraść. Ona gotową była dzielić jego niebezpieczeństwa, isę, jak mówiła, za kraj świata, byle się z ohydnych więzów uwolnił.

Z tego krótkiego z nią spotkania i rozmowy Damazy wyniósł jeszcze silniejszą determinacją: ważenia się na wszystko, byle dziewczę wyrwać matce i księciu. Faustysia przyrzekła na każde zawołanie być gotową i miała się postarać o klucz od drzwi z sieni wychodzących wprost na wały, któremi niepostrzeżenie wymknąć się było łatwo.

Po rozstaniu się z bratem Damazy, przekradając się ostrożnie, aby go kto nie podpatrzył, wysunął się aż na sam koniec miasteczka, do nędznej chałupy, w której u Froima najał sobie schronienie. Froim obu Butrymom był od bardzo dawna znajomy. Pamiętał ich prawie dziećmi. Nawówczas był on jeszcze zamożnym arendarzem w Sławencinku i handlował bydłem. Dotknęła go kłeska; niespodziany pomorek pozbawił go w krótkim czasie całego, długo zbieranego, majątku; kupione woły powyzdychały prawie do jednego. Zadłużony, zruinowany, stary żyd musiał na te lata, w których się spodziewał spoczynku i dostatku, zejść na nędzną chałupę i na ubóstwo, z którego już się wyratować nie mógł.

Lecz była to Hioba natura: więc wylawszy się ze skargami przed Panem, błogostawiła rękę jego i cierpliwie czekała podźwignienia, pociechy z nieba lub wyzwolenia. Froim stał się pobożnym bardzo i, dzieci rozpuściwszy po świecie, podtrzymywany przez nie potrosze, żył z dnia na dzień—zrezygnowany już na dół swoje.

Zmuszony wynieść się od Chai, Butrym przypomniał sobie starego Froima i zapytał o niego w miasteczku. Znali go wszyscy w Białej i pierwszy spytany żyd wskazał mu chałupę, ostatnią z tych, które połączone były w jedną całość sznurem, od dachu przewleczonym na domy sąsiednie.

Trudno sobie wyobrazić coś nędziejzego. Zapadła na pół w ziemię, ze ścianami powyginanymi, z dachem pogarbnionym i połamanym, nad którym sterczał ogromny dymnik, opłatanym łoziną i osmarowany gliną—chata Froima takimiu tylko, jak on, zuboższemu nędzarzowi służyć mogła za mieszkanie. On, żona jego, równie, jak on, stara, i sługa, tak biedna, jak oni—składali całą ludność tego szalasu. Gdy Damazy zrana zapukał do

drzwi, do których nigdy nikt nie zaglądał, zdziwiona sługa przysłała go odprawić, sądząc, że będzie pytał o drogę. Na zapytanie o Froima i on sam się pokazał, ale w stroju do rannej modlitwy wdzianym, którego nie zrzucił, aż nabożeństwa dokończył. Damazy czekał cierpliwie, bo nawówczas ludzie byli pobożni i każdą religią szanować umieli.

Froim, zdjawszy ubranie, służące do modlitwy, gdy się do Damazego zbliżył, nie poznał go wcale. Musiał mu się przypomnieć Butrym, odwołać do szczęśliwszych czasów. Wiedział o tem, że żyd, za wyrzucenie z arendy nielitościwie, do księcia żał czuł, i, nie mając wiele do stracenia, da mu przytułek, chociażby go o jakieś konszachty przeciw zamkowi posądzal.

Począł Froim od tego, że się na swoje poskarżył dół, porównując ją z dawnymi dostatkami. Musiał Damazy wysłuchać tych bolesnych żalów, nim mógł mu powiedzieć, czego żądał od niego.

Froim gotów był chętnie dać mu przytułek, lecz w chacie, ani dla pana z pacholkiem, ani dla koni miejsca nie było. Mały alkierzyk z biedy mógł jeszcze służyć Damazemu, ale dla Pawluczka i koni w sąsiednim domowstwie najać kawał szopy musiano. Nędzne to nad wszelki wyraz schronienie miało tę wielką zaletę, że się tu nikt nie mógł domyślić obcego człowieka. Oprócz tego stary Froim był nieoszacowanym dla Damazego doradcą. Wiedział o wszystkim, co się tu działo, znał ludzi i stosunki, a w duszy żał żywił do nielitościwego chorążego, i nienawiść do Wolskiego, który, jako, wychrztą, przesłał do zacięcia dawnych swych współwyznawców. Pierwszego dnia Damazemu w tej chacie, u starych znajomych, i im z nim—bardzo źle było. Powoli jednak poczęło się składać znośniej—i Froim, który miał przed kim się skarżyć, rad był prawie gościowi, zresztą niewymagającemu. Nagrzawszy sobie piwa z grzankami i serem, dwa razy na dzień, o chlebie i kawałku wędliny, Damazy żył, nie skarżąc się.

Był tak zajęty swoją Faustysią i jej wyzwoleniem, że wszystko zresztą obojętnem mu się stawało.

Po widzeniu się z nią, przekonawszy się, iż dziewczę o nim nie zapomnialo i brzydziło się niewolą, w której ją trzymano—Damazy począł obmyślać środki ucieczki.

Nie było sposobu nic zrobić, nie zwierając się Froimowi; Damazy był pewien, że on go nie zdradzi.—Stary zdumiał się wielce z początku, tak zuchwałemu zamiarowi, krzyknął, za głowę się pochwyił, lecz w końcu zrozumiał, iż się na to było targnąć można.

Trudności było bez liku; a do nich i tę, największą, należało dołączyć, że Damazy wielkiego zapasu pieniędzy nie wywiózł z Lunewilu, od brata zaś wiedział, że i ten grosza nie miał wiele.

Po powrocie z zamku, zapalił się jeszcze mocniej do ucieczki; ale przyjął dobrą radę brata, który radził, przynajmniej chwilę taką wybierać, gdy księcia nie będzie w Białej.

Szło mu o to, aby Faustysi nie narazić na nieszczęście, bo gdyby mu ją odebrano, kto wie: jakiby los od mściwego księcia czekał biedną dziewczynę... Miał więc czas Damazy dobrze wszystko opatrzyć, obmyślić i przygotować, bo, chociaż w miasteczku o wyjeździe księcia mówiono, nie sądził nikt, aby, chory i niedomagający, zimową porą miał się na podróż narażać.

Do ucieczki potrzeba było, nie już tej pary wierzchowych koni, które miał z sobą Damazy, bo te się sprządz nie dawały, ale innych dobrych, rącznych—i sani albo wozu. Musiał też zawczasu drogę obrać przezornie a zbadać starannie, i to taką, którą-by ich ścigać nikomu na myśl nie przyszło.

Wszystko to pieniądze wymagało, a z temi się rozliczwszy i dołączając do nich, co mógł wziąć ze sprzedaży małych klejnocików, ostatnich po rodzicach pamiętek—nie starczyło na przybory podróży, na przeżycie przez czas jakiś, dopóki-by się w odległym, zapadłym kącie Litwy albo Korony nie znalazło służby i przytułku.

Wpadł więc Damazy na ostateczny, rozpaczliwy środek, po którym sam się niewiele spodzie-

GNIAZDO HETMAŃSKIE

STUDYUM OBYCZAJOWE Z XVII WIEKU

przez

Maryana Dubieckiego.

(Dokończenie).

Widzieliśmy zewnętrzną niejako stronę owego hetmańskiego gniazda; przyjrzyjmy się teraz, oile możność mamy po temu, jaką jego wewnętrzną była ozdoba.

Prostota, praktyczność, zapobiegliwość — prawdziwe znamiona gospodarki wojewodzkiej — przejawiały się i w wewnętrznym urządzeniu domu i rodziny. To, co tworzyło najcenniejszą wartość sprzętów, posiadało trwałość, można rzecz, wiekową. Na pierwszym planie były zbroje i ryszunki. Zbroja tworzyła własność niepodzielną, własność całej rodziny; ze zbrojowni, jak ze wspólnego skarbcia rycerskiego gniazda, czerpano wszelki ryszunek według potrzeby. Sprzęt ten rycerski pomnażać trzeba było i zachowywać w całości, by mógł służyć ku obronie. Ta niepodzielność zbroi trwać zapewne miała do czasu, aż każde z dzieci wojewodzkich oddzielne wytworzyłoby gniazdo rodzinne, gdzie stanąć-by mógł nowy związek zbrojowni. Zanim jednak trudem, krwią, zasługą zapracować-by zdolali na ową niezależność, zanim postawiłby ich czas na czele rodziny, zbroja ta miała pozostawać w dawnym, starym gnieździe. Wyraźnie o tem mówi wojewoda, wyrażając się w następujący sposób: „ryszunkami wojennymi nie dzielić się, chować to porządnie, zanim któremu tego potrzeba-by była, i to zaś, z potrzeby przyjechawszy, chować, nietrwonić, oczyścić, żeby tego, gdy potrzeba będzie, dochowano i przyczyniono“. Tak, zawiliw nieco stylem, wojewoda zaleca wspólność rycerskiego mienia, które w jednej dłoni, nierozpraszane, porządnie schowane, mogłoby przynieść pożytek, obronę, bezpieczeństwo.

Ilość rozmaitego ryszunku wojewodzkiego domu była, jak na prywatne środki, wielką. Była tam niemała mnogość śmigownic, strzelb rozmaitego gatunku, hakownic, muszkietów, rusznic różnego miana i prochów ogromne zapasy. Były przytem zbroje, które jeszcze wdziawał wojewoda, i w których później jeszcze walczyli jego synowie; miano również łuki z kołczanami i w naciąganiu łuku umiejętnym a silnym celował tak dalece pierwotny syn wojewody, późniejszy hetman, Stanisław Koniepcowski, że umiał zdaleka puszczonej strzałą przeszywać żelazną zbroję.

Sprzęt inny, domowy, składały srebra liczne. Były to rzeczy niemniej od zbroi i ryszunku trwałe i na wartości nic nigdy nietracące. W izbie stołowej, w Ruszcu, wisiał ogromny świecznik srebrny, składany, który z czasem przyozdabiał takąż izbę stołową w zamku w Koniepcolu; wówczas jednak jeszcze ów zamek nie był skończony i dopiero po zgonie wojewody miano go wykończyć. W innych izbach kosztownych sprzętów nie widzimy, oprócz obić, makat i jakiejś cennej czarnej szkatuły wojewody, która znać była jego ulubionym sprzętem, bo zapisał ją przyszłemu hetmanowi. Lecz skarby domowy miał srebro podostatkiem. Spotykamy tam nalewki, miednice srebrne, konewki, puhanry srebrne, większe i mniejsze, garniec srebrny, „czarki białe“ ze srebra, snadź pozostałość z wiana wojewodzkiego, bo miały na sobie herby jej rodu, herby Sroczyńców, którzy już byli wygaśli; solniczki, lichtarze i łyżki ze srebra, a te ostatnie w małej liczbie bardzo, bo słyszymy tylko o dwóch — uzupełniały zbiór sreber domowych. Mała stosunkowo liczba srebrnych łyżek, przy znacznej ilości konewek, nalewek, puhanrów, miednic srebrnych, niech nas nie dziwi. Łyżki u nas były aż do XVI wieku cynowe, niekiedy drewniane, dopiero podczas doby Zygmunta, zaczęto u srebrnych używać, ale tak nie-

Zadanie tłumacza było trudne, bo ani poprawić ani udoskonalać nie miał prawa, a musiał trochę barbarzyński poemat odtworzyć ze wszystkimi jego znamionami. Czytając też pamiętać należy, że nie wykształcony na wzorach klasycznych, nie uczony jakiś pieśniarz stworzył „Nibelungi“, ale się one same skleiły z podań, a ostateczną formę nadali im ludzie, żyjący w XII w. i śpiewający dla niewybrednych rycerzy i dworów. Są też tu nierówności wielkie, a choć niemieccy badacze próbowali oczyścić text, wyrzucić z niego naleciałości, przywrócić pieśni pierwotne jej kształty, dziś to już zadanie niemożliwe i trzeba wziąć, co dają wieki i tak jak nam zachowały. Nibelungi, zaprawdę, podobne są do starożytnego burgo, którego podstawy zmurowane z erraticznych głazów, przez wieki przyniesionych z północy na falach oschłego dziś morza; burgo do którego późniejszego pokolenia dobudowywały, dosztukowały wieżyczki, baszty, ściany i całe skrzydła, dziś wiekami stworzoną przedstawiają całość. Duch germańskich plemion wniósł w nich sobie pomnik charakterystyczny, jak dzika na pół, wojownicza, krwawa ich przeszłość, pełen grozy i wyzdanej siły. Miłość, która gra tak wielką rolę w podaniach i pieśniach ludów romańskich, tu się przeradza w namiętność zwierzącą i rodzi zemsty pragnienie. Okuci w żelazo, ludzie, zapominając związków krwi walczą z sobą, bo bój jest ich życiem normalnym, zabijają się z okrucieństwem; kąpią się we krwi i napawają nią, gdy im brakuje napoju. Niewiasty nie ustępują mężczyznom w ciskanii głazów i oszczepów. Krymilda z jednej, Hagen z drugiej strony stanowią główne osie, na których poemat się obraca. Piękny i szlachetniejszy Zygfyrd, jako istota w tym świecie morderców i łupieżców wyjątkowa, ginie też, długo w nim wyżyć nie mogąc. Uosobieniem ducha wieku i narodu jest Hagen, który najdłużej też, niezwyciężony, przewodzi mu i góruje nad wszystkimi. Sam Attyła ginie przy nim.

To, cośmy mówili o wielkiej różnicy charakteru części pierwszej od drugiej, stwierdza się też odmiennym wystawieniem postaci Hagen, podniesionego samem męstwem tylko do bohaterstwa w drugiej części, gdy w pierwszej był pogardliwym i nikczemnym.

Tłumacz nasz, zwykle do poematu dołączanej trzeciej części (Klage) nie przyznał wartości żadnej i całkowicie ją odrzucił. Być może, iż z pewnych względów się to usprawiedliwia, ale i część druga też nie wolną jest od zarzutu wobec pierwszej. Tłumaczenie wierne, szczęśliwe, staranne, nie upieknia oryginału, jak on ma niekunsztowną formę, nierówne sobie ustępy i obok strof bardzo pięknych, dużo dołatanego a niewykwentnego. Czuć, że to nie utwór jednego poety, ale pieśń co się u ludu zrodziła piękna, a w rękach półwykształconych pisarek popsuła została poprawianiem.

I w budowie Nibelungów znać to porozrywanie całości, a potem nieumiejętne jej zszywanie. Braknie tu pewnie wiele, bo i ta legenda, którą myśmy sobie przyswoili o Walgierzu i Helgundzie, a którą Niemcy dziś tylko w języku łacińskim posiadają, musiała należeć do poematu; jest w nim nawet wspomnianą.

Wszystko to potrzeba dziś mieć na względzie, sądząc o poemacie, który nas doszedł w stanie tak opłakany. Być może, iż jak się dał odszukać text skrócony pieśni, któremu przyznają niektórzy znawcy pierwotność i oryginalność, tak jeszcze się kiedyś znajdzie starszy od znanych, a pewnie doskonalszy. Wszystko, co tu późniejsze wieki poprzyczepiały, podporabiały i chciały poprawiać, jest właśnie najmniejszej ceny i nadweręża fizjognomię pierwotną.

Sztuka niemiecka, nie licząc nawet Wagnera, który zużytkował Nibelungów dla swej muzyki, w tysiącznych obrazach i rzeźbach powtarza tę krwawą historią, tak dobrze znamionującą późniejsze dzieje narodu. Dziwna to pieśń u kolebki.

Niemalą pracę zadał sobie p. Szabrański przekładem tym, który świadczy o wielkiej jego sumienności i zdrowym pojęciu zadania.

Dzięki jemu, mamy więc Nibelungi z właściwą im naiwnością i śladami przeróbek.

wiele ich tam wówczas miewano, iż wytowny Zygmunta August, który wiele kosztowności posiadał, a wśród innych widziano w jego sypialnej izbie sześnaście pudełek z klejnotami, miał zaledwie dwadzieścia sześć łyżek srebrnych. Łyżki Koniepcowskich ozdobione były herbami samej wojewodziny, jeżeli więc tworzyły zabytek jej wiana, które jeszcze za dni Batoro lub Walezego sporządzano, to temsamem należy je zaliczyć do najpiękniejszych łyżek u nas wyrabianych ze srebra. Pospolicie w owe lata zaczęto używać napisów na łyżkach srebrnych. Sentencje tworzące napisy niezawsze były godne zachowania w pamięci. Często dość zwyczajną treść ich była. Tak np. czytano na nich: „Bez łyżki zła sprawa, chociaż dobra potrawa“; lub też: „Nie przebieraj, gdy ci dadzą, kiedy za stół cię posadzą“ i t. d. Meble skła dwały się tylko ze sprzętów koniecznego użytku. Stały tedy „poławia“ to jest ławy z materacami, okryte jakimiś oponami, grały one tam naówczas rolę dzisiejszej kanapy; widziano również *almarya*—tak się zwały szafy—obicia zaś i makaty, niekiedy u okien firanki z ciężkiego, czarnego płótna, to cały ówczesny zbytek. O wygodzie nadzwyczaj mało myślano. Łóżka nawet dopiero w początkach rządów Zygmunta Starego weszły u nas w użycie, i to maluczkie, wązkie, ubożuchne. Sam król Zygmunt I, gdy dla syna łóżko kupuje, nie wydaje nań większej sumy nad 27 złotych polskich, dzisiejszych. Zamiast łożek, do XVI jeszcze stulecia, mężczyźni, zamożnych nawet domów, używali skór niedźwiedzich, a niewiasty poprzestawały na siennikach i nader skromnych tapczanach. Lecz zato co za przepych w zbroi, w ryszunkach, w rzędach na konie i siodłach! Niektóre z siodeł są tak wspaniałe, że wraz z całym rzędem na wierzchowca zaleca je wojewoda zostawić przy całej masie fortuny, nie dzielić się niemi, a „używać na licznych zjazdach i na miejscach takich—jak się wyraża—gdzieby tego ucziwa była potrzeba“. Wogóle, zasada utrzymywania conajwiększej ilości wspólnego mienia całego rodu, nader często tam się spostrzega; u nas była ona widocznie upowszechniona w owej epoce.

Szaty mieszkańców przastarego gniazda odznaczały się trwałością, która je czyniła szatą wielu pokoleń. Chociaż Batorowska Epoka wówczas zaledwie się zamykała się, niemniej jednak wśród szatni wojewodzkiej nie widzimy śladu hołdowania modzie strojów węgierskich, które przy Batorym upowszechniły się u nas. Koniepcowscy w tym razie, jak i w innych, odznaczali się pewnego rodzaju konserwatyzmem. Stary obyczaj u nich we wszystkim panował: zawsze przeważał kontusz, i pasy wojewodzkie nie różniły się niczem od takichże strojów bardzo dawnej epoki. Jeżeli mnogość była tych szat, to w każdym razie trwałość ich nie pozwalała rozpacztać, by one mogły rychło potrzebować uzupełnienia. Ongi, przed wielu laty, uszyte szaty przechodzić mogły do odległych pokoleń. Z ciężkich brunatnych lub czerwonych materij, widzimy tam delie, podbite sobolem lub rysiem futrem, albo też aksamitem ciemnej barwy z guzami złotemi. Były i delie z czarnego gładkiego aksamitu, które służyły za zwierzechnie okrycie, a spodnią suknią był żupan długi z atłasu, bądź czerwonego, bądź innej barwy.

W jaskrawych barwach kochano się wielce i nawet po zgonie nakrywać siebie kazano „czewononym, szkarłatnym kopieniakiem“¹⁾. Takie polecenie co do swego ciała wydał był Wojewoda Sieradzki; dla nas jest to zarazem wskazówką, że istniał wtedy w Polsce, do dziś używany we wschodniej Europie, obyczaj ludów wschodniej cywilizacji: okrywania ciała, ubranych już do trumny, oponą mniej lub więcej kosztowną. Oprócz delij, ferezij, żupanów i t. p. szat, wojewodzka szatnia posiadała tak zwane jupki, które sobolami podbite były. Delie wdziawano na zbroje — płaszcze to kosztowne, wielokrotnie bogato bramowane — w taką delię ubrane było do grobu ciało Za-

1) Kopieniak—płaszcz od deszczu; krój i nazwa jego turecka, przybyły do nas z węgierskiej ziemi, za dni Batoro. Wspominali o nim różni pisarze dawni i nowi, począwszy od Bartosza Paprockiego, kończąc na K. Wł. Wóycickim i profesorze Muchlińskim.

moyskiego, wielkiego kanclerza i hetmana; takich delij, świadczących o dużych zasobach domu, a niemniej i jupek (szat spodnich, obcisłych, z rękawami lub bez, a zawsze podbitych kosztownymi futrami), dość znaczną ilość widzimy w szatni ojca tego starego gniazda.

W bogatych strojach, o barwach jasnych, najczęściej występowało konno; powozy były tylko dla niewiast. W powozach się więc niezbyt kochano i niewiele ich widzimy na wojewodzianim dworze. Są jednak „karety i altanka“; tem ostatniem mianem określano jakiś wykwintny wojewodziny powozik. Nazwa karety, którą wojewoda nadawał „kolebkom“ swej żony, później znacznie spotyka się w powszechnym użyciu. Powozy dla niewiast wyłącznie służące nazywano wtedy zwykle kolebkami; były to powozy wielokrotnie zbyt kosztowne. Złożono je zewnątrz a wewnątrz objażano aksamitem; „wsuwki“, to jest poduszki w powozie — robiono z atlasu i adamaszku; niewiasta jadąca w kosztownej kolebce okryta pospolicie była szkarłatną, cenną nieraz, oponą, niby kołdrą. O zbytkach niewieście kolebek czytamy u starożytnych pisarzy naszych: gdy królowa Bona posiadała srebrną, inne zamożnych domów białogłowy, starały się jej otyłe, oile mogły, sprostać. Wciągu kilkudziesięciu lat zbytek ten w niewieście zaprzęgach tak wzrósł, iż w dniach, które kończyły wiek XVI a XVII zaczynały, Skarga woła następującemi słowy do niewiast zbytkujących: „Te białogłowy polskie końca swojej pychy nie znają, jedna drugiej nie ustąpi w szacie, w kolebkach, w sześci koniach i służebnicach. Pychę tę poniży Bóg pogańską niewolą, w której was, miasto złotych kolebek, na kolasach powloką“. Wcześniej nieco u Reya z Nagłowic spotykamy również wskazówki o zbytkach w zaprzęgach: „Już czerwony rząd musi być na woźniki — powiada Rey — a niedźwiedzie do kolan, a kobierce z kolebki wywieszaj z obu stron, a galki, aby się ze wszech stron błyszczwały“.

W starem Koniecpolskim gnieździe nie widzimy śladów nadzwyczajnego zbytku. Wszędzie przyświeca dostatek, bogactwo nawet, ale nic nie może się nazywać zbytkiem, nic nie przeszciga wielkich środków tej rodziny, która, acz już stała na podniosłej bardzo drabinie zamożności, jeszcze się wyżej dźwigała, i rychło mienie jej, pracą, zapobiegliwością a wytrwałą dążnością w jednym kierunku, przy oszczędności, przy blaskach szczęścia wciąż świecących, miało się tak potężnie rozrosnąć, iż granice Rzeczypospolitej małym dla niego już były. Przysparzając ziem dla siebie, Koniecpolscy przysparzali ich temsamem dla Rzeczypospolitej, dla wolności, dla cywilizacyi.

O życiu myśli, wobec materialnych zabiegów, nie zabaczano. Są wskazówki, iż był księgozbiór jakiś w gnieździe tem wspaniałym. Co w księgach tych było: nie wiemy dokładnie (są tylko wzmianki szczegółowe o *Historyi Długosza*); lecz łatwo odgadnąć, iż dobór ksiąg był dobry, zważywszy na chwilę dziejową, tak pomyślną dla rozwoju piśmiennictwa. Był to czas, kiedy już spotykano w druku wszystkie owoce piśmienniczej działalności Epoki Jagiellońskiej. Wojewoda, jak sam pisze, „księgi kupował i dostawał“: zaleca dzieciom, by ich nie rozpraszały, dzieląc się niemi, ale zatrzymali niepodzielnie, wszystkie razem w całości, podobnie, jak to polecił uczynić ze zbroją. „W domu niech to zostaje“ — pisze wojewoda — dodając o Długoszu, którego dzieje posiadał w rękopisie, następującą, nader charakterystyczną, uwagę: — „Księga ta (to jest *Historia Długosza*), księga zacna i godna, za skarb jeden być może miana, i godna ta ta księga uszanowania“.

Pełna prostoty, pochwała szacownych „Dziejów“ Długoszowych jest dla nas światłem, uwydatniającą postać naczelnika swego gniazda, który swe pisklęta zaprawiał wcześniej do służby społeczeństwa. A właśnie wzory dobrej, poczciwej służby społecznej, czerpać mogli jego synowie z tej księgi, „która za skarb jeden mogła być mianą“. Długie lata życia obozowego, lata gospodarczych zabiegów, nie wyziębiły w rycerskiej jego piersi prawdziwego poczucia piękna. Myśl wzniósła, wzory szczytne cnót obywatelskich, nie przestają ożywiać go do ostatnich chwil życia. Wy-

chowanie dobre dzieci uważa on za najwyższe dobro, „które przynosi skarby i dostatki wszelakie“.

Takiemi pojęciami postępu, miłości wiedzy i cnoty, przesiąknięta była istota hetmańskiego rodzica, starego Batorowskiego rycerza i rolnika. Spracowany, po długim dni znoju, złożony niemocą, w przecieczniu blizkiego zgonu, kreślił on swe wspomnienia, rady ostatnie, z których czerpalimy rysy do konturów, bodaj ogólnych, tego gniazda, gdzie się urabiały owe prastare typy, nie mowiące nic o prawach swych, o przywilejach, ale o obowiązkach; do pracy, miłości swej ziemi, do ofiary, wzywa on swe dzieci, swójród: i powolni głosowi temu idą oni; idą na bój, na stracenie do jassyru, za spokojem, z karnością w późniejszych latach zatraconą, zapomnianą.

Rzeczpospolita osypywała niekiedy swych synów bogactwami, zaszczytami, ale wiele wymagała. Skarbiec prywatny, senatorski, skarbcem był publicznym. Składano na tym ołtarzu ofiarnym wszystko; jeszcze bowiem w one lata gorzał ogień poświęcenia w sereach szlacheckiej rzeszy narodu. Koniecpolscy szybko wzrastali. Tak; lecz ileż to ofiar poniosło gniazdo owo, ile przedniejszej dało krwi: czy pamiętamy o tem? Zaledwie zamknął powieki stary batorowski rycerz, niedorośli synowie pociągnęli na boje i niewczas. Wdowa, osamotniona, żałobna, nie zatrzymuje ich, nie waha się do świeżych ciosów dodać sobie jeszcze cios nowy — cios najdroższy dla matki — obawę o los, o życie synów. Młodziutki Stanisław, przyszły braniec turecki, przyszły niewolnik w Jedykule, a zarazem i przyszły hetman, wyprowadza, wnet po pogrzebie ojca, duży oddział, bo 200 konnych kopijników i stu pieszych, i wraz ze swym bratem Przedborem, idzie pod Smoleńsk, gdzie król już był założył obóz.

Zaledwie pół roku upłynęło od zawarcia się podwoi grobowych nad trumną Wojewody Sieradzkiego, a już nowa żałoba nad rycką rodziną zawisła. Przeczucia zbolącej, lecz mężnej, matki ziściły się: młodzieniaszek Przedbor, pod Smoleńskiem poległ (13 Czerwca 1611 r.). Na ranne obaliły się mury obleganego grodu. Ciało zabitego przywieziono do rodzinnego gniazda, do Koniecpola, i tam w grobach rodzinnych złożono.

Potrzeba było mieć wielki hart ducha, aby znieść mężnem sercem cios nowy; przeniosła go jednak ta żałobna wdowa i matka rycerzy, czerpiąc moc w tej kraju miłości, która u nas wówczas stała wnet po miłości Boga. Dla Boga i ziemi swej, a braci i społeczeństwa, niczego nie żalowano. Obowiązek tego wymagał, stara tradycja tak nakazywała: było więc już dość tych pobudek, by duchem urosnąć, ból w sercu zamknąć i ze spokojem obliczem przewodniczyć przykładem życia i spełniania obowiązku ofiary, pozostałym pisklętom ryckiego gniazda.

I wojewodzina, jak tysiące innych niewiast naszych w owej epoce, spełniła swą powinność. Bóg tylko widział jej boleść, jej lzy, i on je otarł. Ze stali były serca niewiast ówczesnych. Bolescią, zaparciem się siebie, wniosła ofiarnością, bo ofiarą najdroższych istot, składanych hojnie na całopalnym stosie obowiązku, brały one udział w życiu społecznym i każda z nich, stojąc jedynie u kolebki i ognisk rodzinnych, spełniała najszczytniejsze z zadań życia; była mistrzynią przyszłych pokoleń.

Odessa, d. 16 Grudnia 1881 r.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Styczniu 1882 r.

Obraz Matejki *Rzeczpospolita Babińska*. — Wystawa robót kobiecych. — Roboty zbytkowne. — Koronkarstwo. — Przemysł do mowy włosciański. — Tkactwo. — Walne doroczne zgromadzenie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — Mowa Leszka Borkowskiego. —

Zapowiedziany przyjazd J. I. Kraszewskiego; przygotowania na jego przyjęcie.

(Dokończenie).

Nie starczyłoby nam miejsca ni czasu, gdybyśmy chcieli wyliczać szczegółowo roboty kościelne, ornaty, stuły, antepedya, powiększej części haftowane złotem i jedwabiami na materyach jedwabnych, atlasach i adamaszkach, w najrozmaitszym smaku, a dostarczone głównie przez zakony sióstr Franciszkanek i Miłosierdzia. Sztukę odnawiania starych ornatów i w ogóle rzeczy kościelnych doprowadziła do wysokiego stopnia doskonałości pani Deputowiczowa, obrawszy to sobie za swój zawód wyłączny. Nim przejdziemy do robót innego rodzaju, nie możemy jeszcze pominąć slicznej szarfy z haftem przedstawiającym złote kłosa na tle ponsowem, roboty pani namiestnikowej hr. Potockiej i mebli pani Marcellowej Madejskiej, mianowicie trzech fotelików na czarnym atlasie haftowanych kolorowemi jedwabiami o żywych i bardzo harmonijnych barwach.

Przejdziemy do robót koronkowych. Znajdujemy na wystawie koronki tak piękne, wytwornością wzorów i pajęczą prawdziwie przejrzystością zdumiewające oko, wzwymcająone do zagranicznych tylko wyrobów tego rodzaju. Przypatrzmy się naprzykład chusteczce, wyrobionej w klasztorze panien Franciszkanek, przejrzystej jak pajęczyna, ocenionej na 600 guldenów: w czemże różni się od najpiękniejszej koronki bruxelskiej — chyba ceną; bo zagraniczna tego gatunku kosztowałaoby jeszcze drożej. Koronkarstwo w Galicji rozwinęło się ostatniemi czasami bardzo znacznie — dzięki głównie szkole założonej przez panią Łukasiewiczową w Chorkówce. Roboty tej szkoły, przysłane na wystawę, są tak wytworne, lekkie i strojne, iż trudno prawie uwierzyć, aby to był wyrób nasz własny krajowy; tak dalece nie ufamy własnym siłom, nabrawszy zdawien dawna tradycyjnego nałogu oglądania się na obcy przemysł we wszystkim. Koronkarstwo, rozpowszechniwszy się u nas w miarę potrzeby, może dać zatrudnienie i zarobek znacznej liczbie pracownic i znaczny zasób pieniędzy, wychodzących dotąd za ten towar zagranicę, pozostawie w kraju. Oprócz koronek Szkoły Chorkowieckiej, mamy jeszcze na wystawie koronki takież szkoły w Pieniakach założonej przez p. Alfonsynę Dzieduszycką i pani Gabrielowej z Warszawy. Na szczególniejszą uwagę zasługują roboty koronkowe panny Stelzerówny. Pomiedzy innymi znajdujemy tu cały przebieg wyrobu koronki w postaci motyla przedstawionego w sześciu odmianach, od początku, od wydziurkowania wzoru aż do zupełnego ukończenia, przejrzystej jak mgła, siatki.

Zpomiedzy publicznych i prywatnych zakładów wychowawczych wyszczególnia się zakład panny Niedziałkowskiej, licznym zbiorem robót najrozmaitszego rodzaju, wykonanych widocznie pod dobrym kierunkiem i starannie; tudzież tutejszy zakład ociemniałych, którego roboty zdumiewają swą dokładnością, zważywszy, iż wykonywały je osoby pozbawione wzroku, nadludzką prawie pilnością i uwagą zmuszone zastępować ów zmysł drocogenicny, bez którego wykonanie czegoś takiego zdawałoby się niepodobienstwem, gdybyśmy tutaj nie mieli dowodu: do jakich zdumiewających wyników doprowadzić może gorliwość nauczycielki i dobry systemat nauki.

Jeżeli roboty zbytkowne, owe hafty, jedwabie i aplikacje, mile wabiły oko i zmysł artystyczny, to niemniej przyjemne wrażenie sprawiają na widzu, niepoprzestającym na kapryśnem jeno zadowoleniu oka, roboty do powszedniego użytku przeznaczone, w których, nie już piękność powierzchowna jedynie się ceni, ale wygoda, praktyczność, gatunek, moc i dobroć wyrobu. Takimi są roboty maszynowe, włóczkowe i niciane półczoskowe z dwóch tutejszych pracowni, mianowicie: z istniejącego już od dłuższego czasu zakładu robót półczoszkowych p. Heidenreicha, i znacznie nowszego, p. Zofii Podoskiej. Córnka ukochanego naszego poety ś. p. Wincentego Pola, p. Podoska, otworzywszy niedawno swój zakład, zaopatrzyła go w doskonałe maszyny systematu amerykańskiego i angielskiego i wyrabia wszelkiego rodzaju

zimowe ubrania, mianowicie włóczkowe kaftanki, kamizelki, spódniczki, kamasze jednokolorowe lub też w rozmaite cienie i barwy, bawełniane skarpetki, pończochy i tym podobne rzeczy, mogące mieć wielki odbyt w handlu, z powodu dobrego gatunku, jakim niezawsze odznaczają się towary tego rodzaju zagraniczne, z których częstokroć dochodzą nas tylko zleżałe wybiorki. Zakład p. Podoskiej, rozwijający się pomysłnie i szybko, zwrócił na siebie uwagę na wystawie i poczyniono w nim wiele zamówień.

Osobną salę wystawy zajmuje przemysł włóściański domowy, przeważnie kobiecy, i taktwo. Włóściarki nasze umieją także być artystkami, a chociaż wyroby ich, owe różnokolorowe hafty na koszulach, spodnicach, owe kilimki i kobierce, ich ręką tkane, nie posiadają tej wytwornej świetności, jak wymyślne hafty jedwabne, nie są przecież pozbawione smaku artystycznego i oryginalności, stanowiącej ich przeważną zaletę i urok właściwy. Wszystkie powiększej części wzory haftów, zestawione w szacownym wydawnictwie p. Wierzbickiego, członka dyrekcyi Muzeum Przemysłowego, znajdujemy na wystawie w licznych okazach, już nie w chromolitografowanem odbiciu, ale tak, jak rzeczywiście wyszły spod ręki domorodłych pracownic, z twórczej ich fantazyi na płótno nieuczonym ściegiem przeniesione. Motywa tutaj czerpane z otaczającej przyrody dostarczają przedmiotów wyobraźni; ścieg naśladuje liście, kwiaty, gwiazdy: słowem wszystko, co wpada w oczy i piękniejszym poetycznym w naturze ńeci powabem. Maki polne, chmiel, powoje, blawaty i t. p. dostarczają wzorów i powtarzają się w najrozmaitszych kombinacjach, rozmaitym ściegiem naśladowane. Każda okolica ma swe pewne właściwości, zastosowane do różnicy stroju miejscowego i obyczaju, ale motywa zasadnicze są w gruncie zawsze tesame; ich źródłem zawsze przyroda podsycająca swemi wrażeniami twórczą fantazyę ludu. Najwyższemi i najoryginalniejszymi pod względem, tak doboru kolorów, jak i rysunku, są roboty huculskie. W ich haftach, kilimkach i t. p. przebierają cechy znamionujące smak wschodni, rozmaitość i bogactwo barw i bujność pomysłów. Najwięcej zgromadzili robót włóściańskich na wystawę p. Rieger, z Podola galicyjskiego, znad Bugu i Zbrucza, Włodzimierz hr. Dzieduszycki, z okolicy Pieniak i Brodów, Władysław Przybysławski, z powiatów Zaleszczyckiego i Kołomyjskiego, wreszcie oddział Czarnohorski Towarzystwa Tatrzańskiego.

Wystawa płóciennych znakomicie się przedstawia. Taktwo galicyjskie rozwija się już na szeroki rozmiar, chociaż odniedawna dopiero zaczęto się niemi troskliwie nieco zajmować i zwrócono uwagę na otwierającą się przed niemi przyszłość. Tkacze Andrychowscy wyrabiają płótna i dreluchy rozmaite, kolorowe w paski, jakie zwykli wędrowni Szlązacy roznosić po wsiach, po dworach i dworcach galicyjskich. Wyrób po większej części bardzo dobry, celujący gatunkiem i wytrzymałością, chętnie wszędzie widziany i użyteczny na powszednie potrzeby domowe, liczny znajduje odbyt. Tkacze z okolic Białowej wyrabiają przeważnie płótna grube, do rozmaitych rzemioł potrzebne, jakich mianowicie używają krawcy i szewcy na klejonki. Płótna te także mogą mieć wielki odbyt, albowiem żaden warsztat rzemieślniczy bez nich się nie obejdzie. Najcieńszy i najbardziej udoskonalony jest wyrób tkaczy korceńskich i całego pasma podkarpackiego od Skolego po Żabie, na której-to przestrzeni kilka tysięcy warsztatów tkackich w bezustannym jest ruchu. Płótnom tym wszystkim brakuje tylko stosownego przyrządzenia, tak zwanej apretury, aby mogły stanąć na równi z płótnami zagranicznymi, albowiem nie ustępują im dobrocią wyrobu, czystością wzorów i cienkością, ale nie posiadają tej białości, połysku i gładkości, które nadaje dopiero blich i stosowne przyrządzenie, bez czego płótno nie może być popłatnym i szeroko w handlu rozpowszechnionym towarem. Kolory drelichów andrychowskich wydają się bladymi, a płótna korceńskie są szare i bez blasku, który im dopiero nadać-by mogła apretura. Aby więc podnieść taktwo galicyjskie do należytego stopnia rozwoju, do jakiego zdąża, posiadając wszelkie ku te-

mu warunki, potrzeba utworzyć zakład apretury, i zapewne przyjdzie do tego wkrótce, czy-to za staraniem i subwencją Wydziału Krajowego, czy też za pomocą jedynie spółek prywatnych lub pojedynczych przedsiębiorców; albowiem wystawa okazała dobitnie stan rzeczowy taktwa naszego i czego mu najbardziej potrzeba. Gdyby nie więcej, to już to samo jest wielką jej zasługą i pożytkiem.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych odbyło temi dniami doroczne walne zgromadzenie, zaganione, jak zwykle, przemową prezesa, Leszka hr. Borkowskiego. Przemowy te, drukowane później w dorocznych *Sprawozdaniach Towarzystwa*, zebrał razem przedstawiłyby wymownie, wielkimi rzutami skreslony, obraz wybitniejszych epok rozwoju sztuki, tłómaczący jej rozmaite kierunki i wpływ dokonany na społeczeństwo rozmaitych czasów. W przemowie tegorocznej, po uwagach odnoszących się do spraw miejscowych towarzystwa, skreślił Borkowski ogólny pogląd na znaczenie sztuk pięknych i stanowisko, jakie zajmować powinny, będąc istotnym uszlachetnieniem ludzkości. Sądzę, że będą mi wdzięczni czytelnicy, jeżeli pozwolę sobie podać krótki przynajmniej ustęp tej mowy, albowiem w streszczeniu nie podobna byłoby dać wyobrażenia tej dosadności myśli i podniosłości stylu, któremi znamionuje się, znana ze swej, że tak powiem: elektrycznej, potęgi, wymowa autora *Parafiańszczyzny*. Oto, jak się on wyraził o potrzebie pielęgnowania sztuki:

„Sztuki piękne, rzekł, wnikają we wszystkie warstwy społeczne; wywierają wpływ na wszystkie ludzkie stosunki. Wyroby mechaniczne i utwory umysłowe noszą każdorazowe jej piętna. Są one tak niezbędne do moralnego bytu, jak świeże powietrze do fizycznego zdrowia. Jakżeż litościwie wyglądałoby twierdzenie, że we Lwowie nie potrzeba świeżego powietrza! Bez sztuk pięknych cywilizacja zgola jest niemożliwą. Nawet w narodach najbardziej wykształconych ta tylko część ludności jest istotnie ucywilizowaną, w której poczucie piękna objawiło się w formach zewnętrznych. Zresztą znajdują się wszędzie tacy, którzy nie ze złego humoru, tylko przez miłość własną niechętni są wpływowi sztuk pięknych, bo w czołby się obrócili, gdyby brakło adoratorów biorących płasy smorgońskie za zgrabność, a grubiaństwo za dowcip?”

„Zdarzają się, mówił dalej, dzieła uczonych pewnej naukowej wartości, sprawozdania obszernie przedmiot wyczerpujące; a przecież, że się tak wyrażę, podobne do urangutana, co-to niby człowiek, a jednak nie człowiek — bo im braknie artyzmu; bo sztuki piękne nie wycisnęły na nich pieczęci ludzkości, bo sama uczoność nie daje jeszcze całkowitej cywilizacji. Sztuka stała się naturą wykształconego człowieka. Znamy ziemię klasyczną, gdzie każda miescina była wystawą, każda uroczystość popisem sztuk pięknych. Wychowany na Olimpie geniusz starożytnej Grecyi wydawał *pólbogów*; a nasza terażniejszość, wychowana na paragrafach, wydaje *pólludzi*“.

Dalej powiada, że źródłem sztuk pięknych jest wprawdzie tylko talent i geniusz wrodzony, ale przez pielęgnowanie sztuki rozszerza się jej zamięlanie, obudza i wywołuje wrodzone talenta, ułatwia ich rozwój. Przy tej sposobności mówca zeznawił i porównał Mickiewicza z Zygmuntem Krasieńskim, oddając pierwszeństwo prostocie i skrzydlatemu, jak się wyraził, natchnieniu Mickiewicza nad Krasieńskim, którego nazwał męczennikiem poezyi. Poczem tak dalej uszlachetniające znaczenie sztuki określił:

„Rzuciwszy okiem na ludzkość od czasu pierwszych jej składów społecznych, to jest od kast, przyznamy zapewne, że już powiędło i jak liść suchy opadło, wiele uprzedzeń, zapatrywań się i przesądów, które były czas długi wiarą i prawem. W naszym wieku, kiedy lepszości rodowe i wywodowe, kiedy piękności pergaminowe i bawidełka z blaszek i gwiazdeczek budzą uśmiech niewinny i politowanie rozsądku; kiedy mamidła, brane za zaszczyty, tracą coraz więcej ze swoich złudzeń kuglarskich: jedno zostało jeszcze rzeczywiste szlachectwo: to, które sztuki piękne, nadają podnosząc powaby ducha i ciała, tak właśnie, jak szczyptanie uszlachetnia dziczki. W ten sposób powstaje,

jeśli się tak wyrazić wolno, rasa oświeconych wieków. Dawniej uszlachcała siła fizyczna, zbroja błyszcząca, wprawa rycerska. Teraz uszlachca moc ducha, połysk moralny, wdzięk wewnętrzny, który się i nazewnątrz udziela.

„Niesłuszny to zarzut, że sztuki piękne zniewieściami i miękczą, że odejmują tęgość woli i gotowość do poświęceń. Bo czyliż pieśni Tyrtęusza nie dodawały męstwa, nie pobudzały do narażeń i wielkich zwycięstw? Czyliż nie przy odgłosie muzyki opadały mury Jerycha? Oto są nadania i dyplomy sztuk pięknych. Prędeż zarzucić-by im można, że, odejmując surowość namiętnościom i dzikość występkom, pożącają wrzody moralne, jak tego mamy przykłady, że pominię naszych pisarzy, w niektórych poematach lorda Byrona. Zdarzyć się może, iż bardzo powabne łupiny mieszczą w sobie ziarna szpetne, nawet szkodliwe; lecz cóż ztąd? Wszakże sztuki piękne mają właściwą sobie wartość wewnętrzną, niezależną od przedmiotów zewnętrznych, z którymi się stykają“.

„Dość będzie rzucić okiem na długi szereg ustawicznych przeobrażeń od najpierwszego języka, do tysiącznych mów, przesiąkniętych nieśmiertelnym duchem narodu, wznoszących się, jak kadzidła ofiarne, aż do chórów serafimskich; dość będzie przejść wiekową przestrzeń od pierwszego niezgrabnego znaku, oddającego myśl ludzką, przez niezliczone hieroglify i pisma aż do tej chwili kiedy sfinx ten usta otworzył i całą ludzkość, przeszłość i terażniejszość powtórzył, jakby w zwierciadle, na skinienie pędzla lub dłuta, w żywych postaciach i barwach; dość będzie porównać szalasy ludów koczujących ze świątyniami Tebaj, albo i nasze lepianki wieśniacze z gmachem lwowskiej politechniki, aby zrozumieć, że sztuki piękne są podwaliną oświaty terażniejszej i nasiennikiem przyszłej. Bo ich oddech technicznie ciepło i piękno z pokolenia w pokolenie, z narodu w naród, jak słońce, które nie kończy nigdy zadania swojego, ale z każdą wiosną ożywia nanowo i przystraja całą przyrodę“.

Z odczytanego następnie sprawozdania dowiedzieliśmy się, że Towarzystwo miało w tym roku o tysiąc kilkaset guldenów więcej dochodu, niżeli w roku przeszłym, co głównie zawdzięcza p. Grelińskiemu, członkowi wydziału i kassyerowi swemu, który ze szczególną gorliwością zajmował się rozpowszechnieniem akcyj Towarzystwa. Według złożonego rachunku zakupiło Towarzystwo w przeciągu dwunastoletniego swego istnienia obrazów i innych dzieł sztuki na tutejszych dorocznych wystawach ogółem za 40,000 złr., z czego połowę z własnych funduszków do losowania, połowę zaś z polecenia osób prywatnych. Jak na nasze stosunki, okazała to dosyć sumka, świadcząca o pożyteczności Towarzystwa.

W tej chwili Lwów zajęty przygotowaniem na przyjęcie J. I. Kraszewskiego, który zjeżdża tu pierwszych dni Lutego dla wprowadzenia w życie *Macierzy polskiej*, gdyż otrzymany ostatniemi czasami dar 23,000 rubli, od nieznajomej osoby pochodzący, złożony w Wydziale Krajowym, pozwala rozpocząć wydawnictwo. Pobudkę do uroczystego przyjęcia Kraszewskiego dało *Kóło literackie* i wezwało prezydenta miasta, aby się tem zajął. Na powitanie Kraszewskiego wyjeżdża do Krakowa deputacja złożona z członków wydziału koła literackiego i dziennikarzy. Na tutejszym dworcu powita go prezydent miasta z deputacją rady miejskiej. Nazajutrz odbędą się ceremonialne odwieziny i przedstawienie wszystkich tutejszych towarzystw i ciał uczonych, jakoto: grona profesorów uniwersytetu, Akademii Technicznej Towarzystwa pedagogicznego, Towarzystwa Sztuk Pięknych i t. d. Wieczorem bankiet składkowy w ratuszu. Następnego dnia teatr galowy, poczem wielkie przyjęcie u prezydenta miasta. Według zapowiedzi zabawi Kraszewski tym razem tylko dwa dni we Lwowie.

DROBNE LISTKI.

Stuletnia rocznica urodzin Aubera, przypadła w dniu 29 Stycznia bieżącego roku, była obcho-

dzona w Paryżu bardzo uroczyste. Chciano uczcić, nie tylko znakomitego i wskrosz francuzkiego kompozytora, ale i obywatela — gorącego patriotę. Twórca *Niemiej*, twórca muzyki do narodowego hymnu Francji, odbierał cześć od swego kraju. W czasie obchodu przemawiał między innymi Juliusz Simon w tym duchu właśnie; przypominał słuchaczom, że Auber, blisko już dziewięćdziesięcioletni, nie chciał opuścić Paryża w czasie obłężenia i umarł na nieopuszczonym przez siebie nigdy posterunku miłości Francji — umarł, niestety! podczas Kommuny. Wiele wspomnień o szlachetnym starcu pojawiło się w prasie francuzkiej.

Nie opuścił on Paryża w chwili, gdy spodziewane obłężenie wypędało z niego tysiące, tłumy całe. Starzec ten nie uważał się jeszcze za rozgrzeszonego z obowiązków obywatela i nawet potrafił znieść bardzo wytrwale cały czas oblegania miasta przez Prusaków. Dopóki istniał Lasek Buloński, jeździł tam codziennie i obchodził w koło staw. Gdy laszek musiał zostać zamieniony na zwierzchnic dla wołów i koni opasowych, Auber ograniczył swój spacer do alei „Avenue de l’Imperatrice“, która przecież stała się z biegiem czasu „Avenue Felix-Pyat“ (dziś Wiktora Hugo). Była to już chwila, gdy Rochefort został prezydentem komisji barykad, gdy fortyfikował plac „de l’Etoile“ i mała karetki Auber’a nie przejeżdżała już poza Champs-Élysées. Potem, gdy fortyfikowano Plac Vendôme, dojeżdżał już tylko do kościoła św. Magdaleny, aż dnia 12 Maja 1871 r. pisma francuzkie doniosły: „Jutro zwalenie kolumny Vendôme — dziś wieczorem spodziewają się zgonu Auber’a!“

W wili śmierci, mówił przyjaciółm: — „Żłem sobie wybrał czas śmierci, trzeba mi było umrzeć zeszłego roku. Życie moje było bardzo szczęśliwe i bardzo łatwe, ale żyłem rok za długo. Widziałem więc wzięcie Paryża i Komunię.“

Kommuna chciała go pochować. Kazano pilnować chwili jego zgonu i nakazano już do orszaku pogrzebowego muzykę wszystkich oddziałów gwardji narodowej i karawan z dwudziestu czterema czerwonymi chorągwiemi, oraz delegata, który-by przemawiał na grobie. Ale Auber umarł pochrześcijańsku i chciał chrześcijańskiego pogrzebu; zostawił też piśmiennie wyrażoną wolę swą ostatnią; zwłoki jego wyprowadzono do kościoła św. Trójcy, gdzie następnie umieszczono trumnę w jednej z kaplic. Pogrzeb uroczysty odbył się d. 15 Lipca, gdy Paryż już wyszedł z pod ucisku Kommuny. Muzyka grała przy przeprowadzaniu zwłok na cmentarzu, piękną jego arię: „O France! o ma patrie!“ (z opery: *Duc d’Olonne*). Chóry śpiewały ją też teraz przy obchodzie stułecia.

Towarzyszka Sary Bernhardt w jej podróży po Ameryce, a zarazem autorka osławiających ją pamiętników, również aktorka z zawodu, Marya Colombier, spróbowała pióra i jego sławy, stała się obecnie dziennikarką, felietonistką, ale felietony jej, pisane w tym samym rodzaju, co pamiętnik podróży z Sarą Bernhardt budziły kilkakrotnie protestacje, które jednak niezawsze chciano załatwiać na papierowym polu; że przecież osobą obrażającą była pisarka, nie pisarz, a równouprawnienie nie doszło jeszcze do tego stopnia, aby wyzywano kobiety na pojedynki, redaktor główny musiał być w tych razach redaktorem odpowiedzialnym. Przecież, gdy po trzech takich sprawach, z których jedna była rzeczywiście krwawym pojedynkiem, wystąpiła czwarta: gdy mąż dawnej śpiewaczki Heilbron, de la Panouse, przysłał mu wyzwanie, redaktor odmówił satysfakcji i odesłał wyzywającego do właścicielki, to jest obrażającej, osoby. De la Panouse naturalnie odstąpił, chociaż wyzywana, a raczej niewzywana, dawała zastępcę za siebie. Jednakże od tej chwili do podpisu Maryi Colombier dołączone są cyfry jej rycerza i jest to pierwsza w swoim rodzaju współka literacka.

Nowe doświadczenia z dynamitem czynione były przez francuzkie władze wojskowe w Douai. Obecnie każdy kawalerzysta francuzki zaopatrzony jest w ładunki dynamitowe, i gdy potrzeba konnicy zwalić mur lub zamek, umieszcza się wzdłuż niego ładunki dynamitowe, a natychmiast zopora ta pada. Tosamo dzieje się z drzewem, choćby najgrubszym, gdy pień zostanie otoczony w ten sposób dynamitem. Wysadza się z podobną łatwością kilku kartuszami dynamitu most, psuje szyny kolei żelaznych.

Kolej żelazna idąca po wierzchołku drzew należy do cudów naszego czasu. Niemiecki dziennik, będący organem stowarzyszonych kolei niemieckich, więc pismo specjalne i poważne, donosi, że w Kalifornii, w górnej części hrabstwa Sonoma, w nie wielkiej odległości od wybrzeży, droga żelazna została poprowadzona wprost bardzo głębokiego, gęstym lasem zarosłego wąwozu, otóż zamiast rzućenia zwykłego mostu, po którym-by kolej przejść mogła, chwycono się tańszego sposobu. Ścięto równo wierzchołki drzew w kierunku potrzebnym i ułożono na nich podkłady, następnie szyny. Dwa olbrzymie czerwonodrzewy w samym środku wąwozu stojące, a ścięte na siedm dziesiąt stóp od podstawy swojej, tworzą tak mocną arkadę, że nie tylko lokomotywa, ale wagony z najcięższym ładunkiem towarowym, spokojnie po tym moście przebywają przepaść

Liczba czasopism świata doszła w ostatnich czasach cyfry 34,274. Rachuje się w to tak: dzienniki, jak wszelkiego rodzaju pisma peryodyczne. Idzie ich rocznie w obieg 10,592,000,000 egzemplarzy, co czyni 6½ na głowę całego zaludnienia kuli ziemskiej. Europa ma 19,557 czasopism; Ameryka północna 12,400; Azja 775; Ameryka południowa 690; Australia 661; Afryka 132. Z czasopism tych wychodzi w językach: angielskim 16,500, niemieckim 7,800, francuzkim 3,850, hiszpańskim 1,600. Dzienników jest 4,020, tygodników, dwarazy lub trzyrazy na tydzień wychodzących czasopism 1,827, dwutygodników, miesięczników, kwartalników, roczników 8,508. Wyrachowanie to podaje amerykańskie pismo: *Newspaper and Bank Directory of the World*.

Spis ludności może się nie tak udać w Paryżu, jak się udał w Warszawie, z powodu znowy niewieściej, którą bohaterka emancypacji kobiecej, Hubertyna Auelert, chce urządzić. Odezwa jej do kobiet całego świata brzmi, jak następuje: — „Konie i woły dają się biernie rachować właścicielom swoim, obliczającym fortuny posiadane. Ale kobieta nie może się poniżyć do rzędu zwierząt — nie może dać się rachować, aby potem mężczyźni, na zasadzie liczb otrzymanych, cieszyli się z honorowych i pieniężnych dostatków swoich.“

„Ponieważ być kobietą, znaczy być poniżoną i udurzoną: niech zatem wszystkie kobiety, jakkolwiek są ich przekonania i położenie w świecie, oprą się spisowi. Na blankietach spisowych, które wam wręczają, stawiajcie zero lub kreskę. Oile liczba kobiet nie powiększy obok liczby mężczyzn, ludności, o tyle zmniejszy się majątność rodu męskiego (la fortune masculine).“

Upadek dawnej czci dla kobiet, za którą upomina się paryżski dziennik: *France*, czy nie zostaje w pewnym związku z istnieniem takiej Hubertyny Auelert, Ludwika Michel i t. d. ? *France* pisze: — „Nie zna dzisiejsza Francja szacunku dla kobiet, i naród nasz, który ze względu na stosunek jego do kobiety, zyskał zdobiący go przez wieki tytuł narodu rycerskiego, czy nie utraci go teraz? Ojcowie nasi nazywali miłość podniętą do rzeczy wielkich, wojownik ruszający do boju, wołał: — Za honor i panią myśli moich!... W czasach owych każdy rycerz, każdy mąż szlachetny, przekonany że ubliżył lekkomyślną mową honorowi kobiety zacnej, zostawał natychmiast wydalony z turniejów i innych zebrań rycerskich, gdzie też kobieta nie włożyła mu już wieńca na skronie.“

Poeta musiał podobnie jak rycerz, szukać natchnienia w miłości, lub przyjaźni, lub wreszcie we czci kobiety, uwielbionej czy jako piękność, czy jako cnota wyższa. Ślad nieśmiertelny takiego stanu uczuć, takiego panowania ideału w postaci kobiecej, unoszącego się ponad wiekami walek, zapasów dzikich i przemocy orężnej, pozostał nam przekazany za pośrednictwem najwyższych arcydzieł literatury owego czasu i ludzi takich, jak Dante, jak Petrarca. Trzeba było kobiety, kobiecego wdzięku, kobiecego uczuciowości pomiędzy niebem a ziemią. Jeżeli z czasem, przy zmianie obyczajów, cześć kobiety przechodząc w galanterię, traci swój charakter czysty i wysoki, uszanowanie kobiety uczciwej przechowuje się bez szkazy. Ludwik XIV, ten najdumniejszy z monarchów, nie nakrył nigdy głowy wobec kobiety, i gdy raz spostrzegł Księżcia Orleańskiego, gdy rozmawiał z jakąś panną służeńką (chambrière) w kapeluszu, rzekł: — Wiedziałem, że mój synowiec jest fanfaronem występku, ale nie wiedział, że jest fanfaronem gburowatości“...

Za czasów tegosamego Księżcia Orleańskiego, Regenta Francji, z ostatnim upadkiem obyczajów, upada nawet galanteria, a z nią razem delikatność kobieca. Od „*Précieuses*“ Molière’a, od wykwintnych dam pałacu de Rambouillet, jakież przeskok do księżny de Berry, która klnie, jak muszkieter? *Les petits soupers* Regenta i otwarte zepsucie czasów Ludwika XV, zabijają wszystko, aż do miłości; niema uczucia, jest tylko jego afisz; pasterkie sielanki Floriana, są daremnie usiłowaniami otrząśnięcia się ze starej rdzy zepsucia, daremnie pragnieniem odświeżenia serca w żywej i czystej krynicy uczucia, — są pastiszem, malowaną nudą i ekliwością. Potem następuje epoka trykotek, gilotyny i bogiń rozumu, aż Napoleon przynosi despotycznie, ideał kobiety na wzór niby to rzymskiej matrony. Ale nie umie on się w tem podnieść do Kornelii, matki Grachów, i brutalnie przyznaje palmę zasługi tej, która dostarczy najwięcej rekruca dla armii. Napoleon III chce, stosując do kobiety filozofią utilitarną, zrobić ją przez zbytek narzędziem przemysłowego i ekonomicznego rozwoju, lecz oto Drugie Cesarstwo stwarza lalkę i szulerkę na giełdzie. Wymazuje się tu wtargnięcie w świat kobiecy żywiołu, który w najgorszych nawet czasach upadku moralnego, nie występował tak, jak dziś, uprawniony w dziedzinie sztuki i literatury. *France* wzywa też Francją, aby z uszanowaniem kobiety uczciwej, wrócił szacunek kobiecości i pisze: „Avec l’ère de la liberté, obligeons les hommes à respecter la femme“. Chce, aby to zostało dokonane przez obyczaj i układ towarzyski, przez styl języka towarzyskiego, przez szlachetny wyraz uczuć i obrazy poetyczne w literaturze i sztuce. Niech mężczyzna usunie serce swe giełdziarce i zbytnicy, zalotnicy i Megerze emancypacji, bo „inaczej nikt wkrótce nie pozna, nikt nie uwierzy, że Francuzi mieli takie kobiety, jak pani Roland, i że nie pochodzą wogóle od Nany!“

Sprostowanie.

W Nr 6 *Bluszczu*, na kolumnie 46, w łamie 2, wierszu 23 od góry, zamiast: *Artykuł 267*, czytać należy: „*Artykuł 264*“.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się 5-ty arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka**.

TPEŚĆ. Pogawędka. — Na Białym Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Gniazdo hetmańskie, (dokończenie), studium, przez Maryana Dubieckiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberga.

Доволено Цензурою.

Варшава, 2 Феврала 1882 года.